Dzień — mojorrisin

Jest noc, siedzę w piwnicy, z głową schowaną między rękoma. Pod tą zimną ścianą jestem bodaj od zawsze, pod nią, albo takimi jak ona; w podartym swetrze i drugim, naciągniętym na niego, który jest zresztą w całkiem dobrym stanie. Ktoś wyrzucił go po prostu do śmietnika.
Czekam aż wróci, jak co wieczór. Przychodzi w końcu, ale nie jest sama. Mówi, że to jej stary przyjaciel. Kiwamy do siebie głowami. Jest zimno, rozcieram dłonie. Kiedy przyjdzie mróz, będziemy musieli znaleźć coś lepszego.
- Przyniosłaś coś do jedzenia? – pytam, trzymając się za brzuch. Ona wybucha śmiechem i patrzy na niego. Ten zaczyna się śmiać razem z nią. Od dawna to samo, następujące po sobie dni upokorzeń, upodlenia, czasem rozjaśnione odrobiną czułości z jej strony. Nieraz przypomina sobie, jak to było kiedyś. Kiedy byliśmy parą, niby jedyną na całym świecie. Szczęśliwi. Zaczyna płakać, a łzy zostawiają czysty zaciek na jej brudnych policzkach. Rozciera je zostawiając smugę. Ja też zaczynam płakać, chociaż nie wiem dlaczego - po prostu ciekną mi łzy i łkam jak pies, przyciskając ją do siebie.
Nabijają się, mówią coś o mnie siedząc pod drugą ścianą. Traktują mnie jak najgorszego psa. Ona pewnie trzyma dłoń na jego rozporku, o ile nie zdążyła już wyciągnąć jego zapluskwionego kutasa do zabawy. Może to z tego tak się śmieją. Bo w końcu i tak jest zbyt ciemno, żebym cokolwiek zobaczył. Głupia dziwka. Mam ochotę rzucić się obojgu do gardeł, najpierw jemu, potem jej. Skręcić mu kark, a potem skakać po jego twarzy, wetrzeć ją w kurz, piach i cement posadzki. Potem ona, pewnie zaczęłaby krzyczeć i drapać mnie po twarzy. Skułbym jej mordę aż by się wreszcie zamknęła. Tymczasem torturują mnie, świetnie się bawiąc. A ja jestem sam. Sam tutaj, sam tam, sam wszędzie. Sam na całym zajebanym świecie. Obrzucam ich wyzwiskami, warczę, pluję przed siebie jednocześnie obawiając się, że on zerwie się żeby mnie skopać, uciszyć. Ta głupia cipa pewnie myśli, że jestem zazdrosny. Siedzi tam, cała w skowronkach, z jego fujarą rozłożoną na dłoni jakby to był jakiś pieprzony motyl.
Czasem zdarzają nam się miłe wieczory. Śmiejemy się do łez, tarzamy po posadzce, kochamy na tym postrzępionym kocu albo na stojąco, pod ścianą. Mówi potem, że mógłbym być klaunem, albo komikiem. Że jestem taki śmieszny, kiedy tylko nie jestem zbyt pijany, albo zbyt zazdrosny.
- Macie chociaż jakąś butelkę? – pytam szepczącej przede mną ciemności. Po chwili w moją stronę turla się zakręcone wino. Kiedy piję, po drugiej stronie butelki słyszę jej chichot, jego westchnienie. Oddaje butelkę w ten sam sposób, w jaki ją dostałem.
Próbuję zasnąć, ale zamiast tego miotem się tylko, a kawałki styropianu rozsuwają się tworząc dziury. Ciągle słyszę jak ona stęka, chichocze, wierci się. Słyszę jak jej cipa mokro popierduje kiedy w nią wchodzi ze swoim brudnym chujem. Ich wszy bawią się ze sobą gdzieś na pograniczu kudłatych intymności, jak na mongolskim placu zabaw. Przestając nad sobą panować rzucam pustym winem o ścianę gdzieś nad nimi. Mam nadzieję że szkło spadnie na nich i wokół, tnąc potem ich dupy, brzuchy i uda. Ona zaczyna krzyczeć, on zrywa się, ale nic nie robi. Wychodzę, mówię, że nie wrócę.
- Jak zwykle – syczy kpiąco ona. Jad ścieka jej pewnie po wargach. Kiedy wyjdę, niedługo potem, jad zagęści jego ciepła ohydna sperma.
- Tym razem już naprawdę – odpowiadam słysząc swój żałosny głos, jako dowód potrząsam plecakiem.
- I dobrze. Pierdolony idiota i psychopata. Idź! Idź kurwa!
Mam ochotę powiedzieć jej jeszcze, że jest głupią dziwką, ale zamiast tego po prostu wychodzę. Idąc przed siebie myślę o tym co stało się w ciągu tych kilku godzin, i jak to wszystko zmieniało się przez ostatnie lata. Praca, mieszkanie, przyjaciele dobiajający się od czasu do czasu do drzwi, dzwoniące telefony. Wszystko jak przerwany sen sprzed dwóch dni.
Budzę się na ławce w parku. Robi się jasno, ścieżkami chodzą pierwsi ludzie nowego, narodzonego właśnie świata. Wyprowadzają swoje psy, żeby wysrały się na trawniku. Efekt jest taki, że zanim dojdą na miejsce, zdążą wypróżnić się na jakimś chodniku. A potem ja, albo ktoś inny w to wdepnie. Pieprzeni

debile. Wstaję i ruszam przed siebie, proszę przechodzącego gościa o 50 groszy, odmawia klepiąc się po kieszeniach i nawet nie zwalniając. Następny tak samo, potem ktoś daje mi dwadzieścia, kilka ulic i godzin dalej starsza pani wyskrobuje dwa złote. Kłaniam się prawie w pas, dziękując jej. Zaczyna padać deszcz, chowam się w bramie kamienicy. Z ziemi podnoszę niedopałek, chowam go do kieszeni zostawiając na później. Pada coraz bardziej, siadam osuwając się po ścianie i patrząc tępo gdzieś pod nogi. Myślę o tym, jak śmieszne i żałosne byłoby, gdybym wrócił do naszej piwnicy. Zwinąłbym się w kącie i starał nie widzieć nic, ani nie słyszeć. Zapomnieć o całym świecie. Wszedłbym po cichu, z podwiniętym ogonem. Może poszczęściłoby mi się i nie byłoby już tego jebanego playboya, którego sobie przyprowadziła. Śmierdział zdechłymi rybami. Nawet nie wiem skąd moja wściekłość, mogłem przecież zostać. Tak jakby mnie to obchodziło... Niech sobie przyprowadza i pieprzy kogo chce, mniejsza z tym. Za późno na sceny zazdrości, dobre dziesięć lat za późno. Wystarczyłoby, gdyby rzucali mi jakieś ochłapy, pół bułki, czy dwa łyki wina. Wtedy – niech się pieprzą choćby na suficie. Wszystko byłoby lepsze od tego siedzenia w bramie, gapienia się w bruk, słuchania swoich myśli i bębniącego o parapety i samochody deszczu. Nie chciałbym nigdy więcej pracować. Nienawidziłem tego, nienawidziłem odkąd byłem obesranym gówniarzem i gołowąsem i potem przez lata nic się nie zmieniło. Nie chcę się tym zajmować, nie, za nic. Wolę być psem niż szczerzyć się i płaszczyć ze strachu i ambicji. Co innego, gdy jesteś młody i masz kogoś na tym zapchlonym świecie. Wolę żebrać i żyć z tych kilku złotych dziennie. Jestem jak pies i od czasu do czasu ktoś rzuca mi kość. Mogę zwinąć się koło kominka, na dywanie i leżeć cicho. Nawet jeśli kominek będzie podpalonym kubłem, a dywan kawałkiem szmaty. Muszę tam wrócić, nie zniosę tego długo.

Pierwszy raz dzisiaj odczuwam głód tak mocno. Jednocześnie wiem, że mógłbym nie jeść jeszcze przez dzień lub dwa. Z każdym kolejnym jest łatwiej. Potem padłbym gdzieś na mordę z wycieńczenia. Liczę grosiki na podartej rękawiczce, razem 2,57 albo 2,67. Wychodzę na deszcz. Zjadam grochową w barze mlecznym, za resztę kupuję bułkę i małego batonika w spożywczym na rogu. Chowam się w innej bramie, rozcieram dłonie, przykucam. Pod ścianą znajduję kawałek zwiniętej w papier zapiekanki, brudnej od ziemi i rozmiękłej od wilgoci. Zupa wypełniła mój zasuszony żołądek i czuję się tak, jakbym objadł się jak świnia. Mimo tego próbuję zjeść kawałek zapiekanki. Rozpływa się ohydnie w ustach, piach zatrzymuje się między zębami. Rzucam nią o ścianę, keczup i majonez zostawiają rozciągniętą plamę. Zjadam batonika, potem próbuję podpalić niedokończonego papierosa, ale większość zapałek jest mokra, a draska wytarta.

Włóczę się godzinami, siadając w bramach i klatkach gdy spada deszcz. Idę chodnikiem wzdłuż ulicy, a jakiś gówniarz specjalnie wjeżdża w kałużę obryzgując mnie od pasa w dół. Zza uchylonych szyb słyszę śmiech tych zajebanych małych skurwysynów. Grożę im ręką plując się i krzycząc, chociaż już dawno odjechali. Potem, uwalniając się od wściekłości, zastanawiam się czy kiedyś też tak było. Odkąd pamiętam starsi narzekali wokół na złe czasy, brak szacunku i podłą, chuligańską młodzież. Nie byliśmy wiele lepsi, na swój starodawny sposób.

Robi się coraz zimniej, musi być już koło północy. Dotarłem na osiedle, na którym nie powinno mnie być. Skręcam źle, kilka razy, gubię się. Wdepnąłem w kałużę, w butach mam wodę, gdy zatrzymuję się pod kamienicą przechodzi mnie dreszcz. Jestem mokry, przemarznięty. Wieje coraz silniej. Rozglądam się niepewnie, trafiłem w nieoświetlone miejsce i słyszę kroki. Ktoś może mnie tu napaść i nikt nawet nie zauważy, nikt mi nie pomoże. Odwracam się i ruszam szybko przed siebie, uciekając przed ciągnącym się gdzieś za mną szuraniem. Przyspieszam na tyle, na ile mogę, ale dźwięk jest coraz głośniejszy, coraz bardziej wyraźny. Wchodzę w pierwsze żółte promienie latarni i ktoś jest tuż za mną. Odwracam się, moje oczy chwytają zbliżającą się do mnie nogę i w tym momencie czuję przeszywający ból brzucha. Upadam na plecy, ledwie otwieram oczy, a ktoś już kopie mnie w plecy, drugi od przodu, trzeci od dołu. Słyszę śmiech przeplatany z najgorszymi wyzwiskami. Krzyczą „jebany menelu", „dziadzie", „złodzieju", „pluskwo", „kupo gówna"... Zasłaniam twarz, w końcu przestają. Nie mogę się podnieść,

słyszę tylko jak oddalają się ze śmiechem.
Wstaję z trudem, próbuję iść. Ciągnę za sobą nogę, upadając musiałem skręcić kostkę. W ustach czuję krew, rękę trzymam na potłuczonych żebrach. Idę, mając nadzieję, że to tylko potłuczenia. Przysiadam kilka, a może kilkadziesiąt razy, odpoczywając. Przysypiam na mokrych ławkach, budzę się, ruszam dalej, by zaraz znów gdzieś usnąć. W każdym śnie dzieje się ze mną coś złego, Morfeusz nie jest zbyt łaskawy, tak samo zresztą jak cały ziemski świat. Najpierw ktoś próbuje mnie zastrzelić, potem spadam w przepaść, potem roztrzaskuję potylicę o krawędź kamiennego stołu szachowego w parku. Kiedy docieram do naszej piwnicy, zaczyna już świtać. Nie chcę ich budzić, ale ześlizguję się ze schodów, upadając na plecy. Nawet nie próbuję już wstać, nie mam sił. Śni mi się, że jestem psem, ledwie szczeniakiem, i mój pan próbuje wbić mi coś do głowy lejąc mnie kijem po grzbiecie. Jęczę, ale nic nie pomaga, nie przestaje, nie chce się zlitować. Ktoś mną potrząsa i otwieram oczy, stoi nade mną Danuta, mówi coś. Na pograniczu snu odpowiadam jej płaczliwie, żeby mnie nie biła.
- Jesteś cały we krwi – mówi, z czułością o której istnieniu już dawno zapomniałem. – Chodź, poczekaj, podniosę cię. No, teraz, spróbuj wstać.
Podnoszę się, przerzuca przez siebie jedno z moich ramion i ciągnie mnie na swoją leżankę.
- Idź stąd – mówi do kogoś. Zatrzymujemy się. – No rusz się kurwa! Nie widzisz, że go pobili? Spieprzaj stąd! – krzyczy. Chwilę później pomaga mi się wygodnie ułożyć, podnosi moją głowę i przykłada mi do ust prawie pustą dwusetkę wódki, dając mi pociągnąć tylko łyk. Kładzie się przy mnie, powieki zatrzaskują się. Odpływając chwytam postrzępioną myśl - skąd mieli wódkę; po kilku sekundach myśl wymyka się. Dryfuję na bólu i wyczerpaniu, te powoli zlewają się w jednorodną, senną całość. To był długi dzień – to ostatnie o czym myślę.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelakiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

mojorrisin, dodano 29.12.2009 09:17

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.